

NIWA POMORSKA

Dodatek literacki i oświatowy
do „Dziennika Pomorskiego“

Nr. 13.

CHOJNICE, dnia 3-go października 1926 r.

Rok 1.

F. Sędzicki.

Pieśni pomorskie. Do mojej krainy.

Pieśń dawna.

V.

Oześ ci wieczna zacy kująę,
Swiatopelku zseny, dziełny. —
Dziel donłość twych ci wiąże
sławy wieniec — nieśmiertelny.

Tyś najpierwszy jad wytropił
tej krzyżackiej zradnej żmiji
i wysiłków nie poskąpił,
by łeb strącić z smoczaj szyji.

Pod rozmachem twego ciosa
potwór rzęty, kurczy, fryga:
łada chwili łeb kolosu
juchy resztę swej wyrzyga.

Jaki tryumf to orężny
ludu bałtyckiego wzgórra:
Wpierw nim związek państw potężny *)
zgomół smoka wit Pomorza.

Pędzi hen do Rzymu trwoga — —
O plugawa w dziejach karta! — **)
wysłanicy niby Boga
jęli się za sprawą czarta! —

Zgaśło słońce wielkiej chwaly —
wnet kajdany skuły ręce...
w klry serca się przybrały,
w przeszłość patrząc — w ciężkiej męce.

*) W r. 1410 **) Krzyżacy wnieśli skargę przeciw
Swiatopelkowi do Rzymu.

Onów lud dokonał prosty.
Upór u Pomorzan święty!
Wciąż od wrogów swych gnębiony
w kleszcz śmiertelny wkoł ujęty;

Odepchnięty od rodaków
na łup wrogom swym wydany —
chociz i poniósł wielkie szczyby
przetrwał dotąd — waze szykany.

Zapomniane jego daleje,
nawet nazwy mu nie stało
(obecem zowią go przezwiskiem *)
a on żyje!... Czy to mało ?

*) Kaszubi mieszkali nad Odrą i dawno się znlem-
czyli.

Hej bajaranu siwowloty
sklejęte mi wiekowe gadki
o narodzie żywym, oo mu
wzięte nazwę — fakt to rzadki.

Jak lotr, oo porawwszy pannę,
braciom rzuca splwane szmaty,
tak nam wróg dał nazwę szczepu — —
oo znikozemna!.. w dawne laty.

A ot współrodacy nasi
oży z nienctwa — beżmyślności
poszli za przykładem wrogów.
znanych ze swej brutalności.

Lud pomorskim zawsze zwał się
— w urzędowym patrz nierymie.
Prawie wszystko mu zabrano.
Pozostawcie choćby — imię.

To wyłącznie własność jego
znak dziedzictwa wielkich chwili. —
Niech szukają nazwy innej,
którzy gwarę swą zmienili.

O nie nas spotyka wina,
że wróg urosł na zachodzie,
i że nia dobito żmiji,
przy bałtyckiej wielkiej wodzie.

Testamentem mestwinowym
myśmy braciom miecz oddali,
nie było ozem gromi wrogów,
napaśł gdy przygotowali.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

F. Sędzicki.

Królewna morza.

Bojka kaszubska — ale ładna.

(Dokończenie.)

A taci nadludzci istota, ciede one w za'oso po-
padną, abo do kogo ankórkę¹⁶⁾ poważną, tede ona je
wiele gwałtowniejszo i straszniejszo. To też królewna
sę nijak uspokoić ni mogła i odtąd to morzy zaczęło
sę burzec i szumnioć, stacłi przerwórac, brzdził pod-
rywac. A jeśli gdzie człowieka dostało w swoją moc,
to zaro w grunł go porwalo. — Tak sę krolowo na
ludzy rozgorzela.

W taki to nieroz sposób wiele ludzi za winę jed-
nygo ciepłego muzy, i pokutować za jego winę.

Ale i młodygo rebeka sygnęła zemsta.

A ciede jij się go złapac nie udało, choć wała pory
wała coraz większy ławale zemi pod Dunowem, jał
tam cało zatoka puczo powstała, a i burzo i falo
nie nie wskórsiła, tede królowno sadła na swoją cudo-
wną łódkę — taroz żalobnie przebraną i żalobnie spie-
wając objeżdżała morzy.

Nojczęsyj jednak przebywała nad brzedziem prze
Dunowis i tam tak żalobnie lamaanowała, jał ludzom
słuze w oczu się kulala, ciede jij piesni słucheli.

Młody Bosk jednak się strzegł nadchodzeć nad
wodę, bo wiedzol, oo go czekało, ciede się dostał w
ręce królowne, za to, że jał tak haniebnie zdradzeł.

Ale przegrzecha¹⁸⁾ nie spi nigde i pilnowała
swygo.

Jednygo razu oos go akuratnie tak mocno cagnęło
nad brzeg morsoi, że njak się oprzeć ni mógł. Od
czasu jak on wróceł z ze zamku królowne, to żęcy
rebekocy mu się taji nie wedowała jak przedtym, a oso
bliwie jak w tyj chwili, cie on Lenaę na morzu spotkeł. A
ona Lena już taką mu nie była mnią. Wdarzeł se
cie tero wszystko, oo zli ludzie, a oobliwie Bolesa
Kutelec na nią nagodała, i czemu on pierwaszyj nie
choceł dac wiara, abo na to nie swęził. A sresztą bie
da le i utropleni na zemi człowiekawi doskwiero i
żodnygo bezpieku¹⁹⁾ nie do. — Inazyj byto tam...
w zamku królowy morza.

Tak medetowol młody Bosk nad brzedziem morza.
A prawie tego wieczoru królowno znoum przepłynęła w
tę stronę morza i zaczęła spiewac swój żalobny splew
i wepowiodac swój rozdzierający żol.

Z brzegu przepływała da rebeka muzeka ze vse,
jaci się uczyli i przegrywali muzykanoe na jego weseli
z Lenaę, oo wnetk odbec się miało. Ale to młodygo
rebeka nie nie rozweseliło, tak jak go już żodne mu-
seci ani tańca, ani frantówci ani też bojai, chooba no-
cudowniejszy nie rozweselał.

Boo to wszystko, oo mu w bojkach opowiodeli on
znol w istocie o wiele lepszy i cudowniejszy i to nie w boje
ale w prowadze. I bez tę muzekę i tę gre, on jeszcze
wyraznij widzol, jako to wielko była różnica mładsze
tym żecem tu na brzegu wśród tych błędnych rebeków
a tam w wapaniałoscach morowego pałacu.

I też go wzjęła tako teskniająca i tako go rozebrała
mankolijo, że jij njak poradzeć ni mogł.

A królowna stała na westrzódku morza, na swojej
cudownyj łodze i spiewała :

O wróć się, mój luby wróć —
i straszną mą żaloso skróć —
w objęca lubieżne me,
do zamku na morskim dnie...

Gdzie ból zamiera i żn,
gdze młodosć na wieki trwa ; —
gdze szczęścia miłosy raj! — —
O! — daj się ublagac! — daj! — —

Ta spiewa skruszela Bosko do reszte i cie sobie
przetem wdarzeł wszystko to, oo przezeł w cudownym
morscim zamku, tee ju dłużej zapanowac nad sobą ni
mogł i płacząc prawie biegi w fale morsoi.

Przejęła go panna morsko, nurzając się we fall, i
zaniesła młodygo rebeka jał do statku królowy. Ale
w chwili, cie go upuściła, a królowa rękę wecagnęła
jak do pokutnygo swygo kochanka, unioła się fala i
go w swój wir porwała. Zabrała go sobą aż do pa-
łacu morskiego i tam ułożyła ale już jako nieboszczy-
ka, bo królowo nie dała przedtym rebekowi tego pasa,
co od utnieńcu chroni.

Tak skończył rebek i nkt jego cała jał nie na-
leze, bo je strzeże niepocezonno dotąd w żalu królow-
na morza, co je w przepaszonym swoim podmorscim
parku przechowuje.

Ale wspomieni o tym wepodku dluze jeszcze się
zachowywało wśród okolicznych rebeków, co osobliwie
napomknij.²¹⁾ o nim tede, ciede się morzy nanowo
strasznie burzeo i rozecze zaczęło. Był to znak że
królowę, co się njak uspokoić ni moze znoum porwol
straszny żol i górz na ludy i że tak w gorzu i boles-
ce się szasto jak i to morzy oo w swoim reciem i wacem
wepwiodo swój żol. Tak samo też morsoi dzwiesza —
fale młodych rebeków — żebe ich zgubio — do dzys
dnia kuszą.

Tako to je ta moja opowiesc o krolowy morza
baltyckiego.

18) urazę, 19) ozart 20) spokoju 21) przypomnieli

Serwacy Zieliński Tuchola.

Stosunek człowieka do Borów Tucholskich. Bartnictwo.

Już za czasów księząt pomorskich Bory Tuchol-
skie dawały duze dochody z bartnictwa. Wolfstrona
w wpisach swoich podróży z okolo 900 roku podaje, że
Pomorze obfitowało w miód. Bartalnzy wycofnali w
grubszych sosnach nle, obsadzając je pszczolami.
Celem powiękzenia i polepszenia wydajności obszarów
kwietnianych dla pszczoł, pallii bartelnicy drzewa, ota-
czające bartnie. Wypaleniska były często obszernie,
zależnie od ilości wspólnie stojących barci. Niekie-
dy ognie potęgowały się w pożary, nisząc „Bory“
na wielkiej przestrzeni. Za czasów Krzyżaków zostało
bartnictwo ujęte pewnymi prawami dla zmniejszenia
pożarów i dla uzyskania większych dochodów z tego
przedsiębiorstwa. Weber nadmieniał, iż kontur Tucholi
pobierał 904 korcy owsa 1057 marek czynszu i wielką
ilość miodu z puszczy, z którego on Wielkiemu mś
trzewi płacił musiał 800 marek i 40 beczek miodu. X.
Dr. R. Frydrychowicz także pisze, iż miasto Tuchola
musiało dostarczać 6 wladar miodu za podarowany w
r. 1346 przez wielkiego mistrza Dusamera v. Arfberg
obszar boru w wielkości 3000 morgów, otaczających
Tucholę; bór ten dawno już ścięto. Z powyższych
danych wynika, że bartnictwo było wprawdzie bardzo
rozpowszechnione i doskonale rozwinięte, ale Bory Tu-
cholskie ucierpiały. Długo też Prusacy, gdy w pier-
wszym rozbiórce Polski przywłaszczyli sobie i Bory
Tucholskie, starali się stłumić uprawianie bartnictwa
w sosnach. W r. 1772 obwód inspekcyjny Swiecie
liczył 20.000 barci; trzydziesiąt lat później, w r. 1902
zmniejszyła się liczba na 2520. Dziś ten sposób
prowadzenia bartnictwa zupełnie zginął. Dwie tylko
sosny bartne pozostały do dziś: jedna w nadleśnictwie
Trzeboiny w rewirze Zielenka w oddziale 61 a, druga
stoi w nadleśnictwie Sarniagóra, rewir Dębina ob-
wód 68.

Z podań ludu pomorskiego.

Karcielarz porwany przez djabła.

Pewien gbur z Konarzyn udawał się oo niedzielę
do Chojnic, rzekomo na „nabożeństwo do kościoła.
W istocie jednak apędzał oaly czas na grze w karty, a
tylko żonie tak kłamliwie się tłumaczył. Zona jednak

podejrzewała swego męża, że on ją okłamuje. Donieśli jej bowiem o tem sąsiedzi, wobec czego często go upomniasta. Jednakże daremnie. Pośląg do kart był tak silny, że ów gospodarz żadnych przestróg nie słuchał.

Pewnego więc razu oburzona na ten nałóg przez strzegła żona męża, że go niezawodnie raz djabeł spowodu nieświeńceni nadzieli porwie.

Nałogowy karcciarz wyśmiał się z przestróg swej „białki”.

A jednak groźna przepowiednia się spełniła. Kiedy bowiem ów gospodarz wracał z Ohojnic, dopadł go czarł i uniósł go w szybkim locie w górę. Jednakże nie umiał czy nie chciał go unieść zbyt wysoko i nieraz opuszczał się ze swą ofiarą dość nisko. I tak lecąc ponad jeziorom Charzykowskiem dość często zanurzał nieszczęsnego karcciarza we wodzie, a następnie lecąc donad okoliznymi lasami włóki go poprzasz korony i gałęzie drzew, które się nieszczęsnemu dość mocno dawasty we znaki. Wierni bowiem, którzy wracali z kościoła, i którzy temu porwanu się przyglądali, słyszeli rozdzierającą skargę nieszczęsnego ofiary zgubnego nałogu karcziarskiego i ustawiczną prośbę tegoż do djabła, aby leciał trochę wyżej.

Wypadek ten i opowieść o nim później niejednego nałogowego karcziacza odstraszyły i odwiódlły od tego zgubnego i nagannego nałogu.

Pieśni-frantówki ludu Pomorskiego.

Na regu pola stoi topola:

Powiedzże mi dziewczę moja,
jaka twa wola?

— Wola ma taka: Nie chcę piłaka
ni takiego, co nie umie
robić — chłopaka.

— Wola ma taka nie chcę biedaka,
ni takiego, co gra w karty
chłopa — hulaka.

— Złota nie trzeba, pada deszcz z nieba,
będziemy się dorabiali
kawalka chleba.

— Talary były, pięknie dzwoniły
kulały się, kulały się
do twojej miłej.

— Talary białe okrągłe były,
kulały się, kulały się
do mojej miłej.

— A moja mała, nspój mi konia!
— A ja konia nie napoje,
bom ja nie twoja,

Koniki piją, nóżkami biją,
uciekajcie dziewczę lubę
bo cię zabiją.

Gdzie jest moczars ten, gdzie jest siła ta
co odmienił rzecz potrafił,
co się już stała?

(Odmiana nowsza;
Nie uciszysz burz, nie rozniecisz zórz.
Ani tego nie odmienisz,
co się stało już.)

25 letnia Rocznica Procesu Toruńskiego Filomatów i Filaretów Pomorza!

W dniu 29. bm. Toruń a z nim całe Pomorze obchodziło swoje wielkie święto narodowe, 25 lecie słynnego procesu p. n. Toruńskiego, którzy wtrącił do do lochów pruskich kwiat młodzieży studenckiej Pomorza.

Gdy germanizacyjny system pruski coraz to więcej wypierał z uczelni język polski, powstały przy gimnazjach zaboru pruskiego tajne kółka, w których polska młodzież szkolna uczyła języka ojczystego i dziejów swego narodu. Macierzą tych kółek filomatycznych na Pomorzu było gimnazjum Chełmińskie, skąd powstały kółka w Brodnicy, Chojeńcach, w Toruniu, Weherowie itd.

Celem ujednoczenia nauki, wprowadzenia jednolitych podręczników itp. na cały zabór pruski, powstał Związek p. n. „Czerwonej Róży.” Kierownikami jego byli składnicy, siedziba została w roku 1899 Gryf ja. Związek dzielił się na okręgi.

Związek kół Pomorskich, w skład którego wchodziły tow. w Brodnicy, Chełmińcach i Toruniu zorganizował delegat na Pomorze stud. med. Aleksander Markwicz. Związek wydał p. l. spis wydanych kół członków, aby zapobiedz przyjęciu ich do innych kół. Spis ten stał się przyczynkiem do procesu Toruńskiego. W gimnazjum w Sreńcu nauczyciel Fochner przydybał go u ucznia Domańskiego. Rozpoczęło się śledztwo, którego ślad prowadził do gimnazju w Chełmińcu, Brodnicy i Toruniu.

Śledztwo zostało uwięzione zabozaniem ucznia Bernarda Gońca, dalszego kś proboszcza w Luzinie pod Wejherowam, którzy też nadał swem nazwiskiem nazwę całemu procesowi „Gońca u. Genossen” (Gońca i towarzysze.) Dyrektor gimnazjum Chełmińskiego, usłyszawszy zeznania Gońca w przeznaczeniu wielkiej katastrofy, miał wypowiedzieć „O hätten Sie's lieber nicht gesagt!” (lepiej byłoby, gdybyś Pan tego nie był wypowiedział!).

Rozpoczęło się śledztwo, jakie tylko mogły wymyśleć rafinerja i bezczelność pruska. Wymuszano zeznania pod groźbą lub oczerni obywatelami. Kilku słabszych na duchu uległo, reszta nie zlamiała przysięgi, jaką składała, wstępując do towarzystwa.

Sędzia śledczy oddał w rzes prokuratorowi 90 podejrzanych o spisek, grożący bezpieczeństwu Państwa niemieckiego. Prokuratora z tej liczby osadziła na ławie oskarżonych 60 ciu gimnazjastów i studentów.

W Toruniu przed Izabą Karną, której przewodniczył przywódcą Toruńskiej H. K. T. sędzia Graasman, rozegrał się proces od dnia 8. — 12. września 1901 r. Na siedmiu długich ławach zasiadli oskarżeni. Sprowzdliło ich na nie serdeczne przywiązanie do mowy ojczystej, do wszystkiego co polskie, ta potężna wiara, że Polska znów powstanie z gruzów i gorąca miłość do biednej i nieszczęśliwej ojczyzny, jeżącej w kajdanach niewoli. W oczach Prusaka było to straszna zbrodnia. Imponująco wyglądały szeregi tych młodocianych patriotów. Szlachetna duma opromieniowała im twarze, a świadomość, że cały naród polski patrzy na nich, napędziła serce radością. Berlińska Volke — Zeitung, omawiając proces wyraziła się o oskarżonych następująco:

Patrząc na oskarżonych nabierze się mimowoli i szacunku „dla polskich gimnazjastów. Sędziowie, którzy mają wydać na nich wyrok, muszą z duszy przyznać, że dum nimi być by mogli, „gdyby posiadali takich synów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Woli nie Lubioz.

Ukarane samochwalstwo.

Nieprzyjemne następstwa wyprawy wakejnej nad morze.

(Ciąg dalszy.)

Najulubieńszy, najukochańszy mój Burniaku — czytał. —

Umieram z żalu, usycham z tęsknoty odkąd odzadzieliś jak sen jaki złoty, który jak tyran sercem mem targales i na pamiatkę pieścieli mi zabrales, com ci go dała w darze do tej chwili, póki się razem tu będzem bawili. Aby widzieli panowie i damy, że już dozgonnie w sobie się kochamy; że żar miłości trwały i niezmierny. Lecz tyś mi zemknął z pierścionkiem... niewierny!

I już nie dajesz więcej życia znaku. Lecz ja cię znajduję — zwodniczy... łajdaku. Umerająca z ciałości i smutku. Pozdrawia biedna zrozpaczona — Lutka.

— P. S. proszę przybyć do hotelu Rajskiego, gdzie ciebie mój drogi, oczekuję.

— Wolicz! — wrzasnął p. Burniak przez zaciśnięte zęby.

— Co to znaczy? — pytała głosem strasznym jak huk pioruna p. Burniakowa.

— Zart jakże nikczemny... Oszczerstwo... żadna dama pierścionka mi nie ofiarowała, żadnej go nie zabrałem. Świadkiem jest Białk.

— Przywołam Białka, a ta pani niech tu przyjdzie, obejrzą ją sobie, pomówię..

— Może lepiej, że ja się udam do hotelu — wyjęknął p. Burniak.

— Nie! — zagrzmiła jego polowica — O wykręty ci chodził. Ja chcę się przekonać.

Po chwili w biurze p. Burniaka zjawił się p. Wolicz wraz z panną Lutką oraz p. Białk błądy jak cynkowa biel.

— Co mi pani za awantury wyrządza — krztusił się p. Burniak — w moim domu? Ani mi pani jakiegokolwiek pierścionka nie podarowała, ani ja pani go nie skradłem. Jeżeli pani tego w tej chwili nie odwoła, każę panią aresztować i zaprowadzić przed prokuratora.

— Wolno, wolno, panie Brunonie! Bardzo mi żal, że panu sprawiłam przykrość, ale nie wiedziałem, że pan jest... żonaty. A co do pierścionka, to wyzwanam na świadków p. Wolicza i Białka.

— Tak — odrzekł p. Wolicz — w restauracji „Wineśta“ p. wyraźnie twierdził, że ta pani podarowała panu pierścionek. P. Białk chyba sobie również przypomina i musiałby to przyznać pod przysięgą.

Słowa końcowe wypowiedział Wolicz szczególnym naciskiem zwracając uparczywie wzrok w stronę malarsza.

Ten posątkowo wbraśniał się, coś w tej sprawie powiedział, ale ostatecznie minorowo wykrztusił:

— W Wineście, to niby tak p. Burniak powle-dział.

— Weś pani ten pierścionek i wynoście mi się do miliona djabłów morskich — zawołał p. Burniak, widząc jak fatalny dla niego sprawa bierze obrót i w jakie on się sam zaplątał sieci i rzucając pierścionek na ziemię.

— Tylko nie zanadto porywozo, panie Burniaku! Ma pan dobrą naukę za bezmyślne samochwalstwo i kompromitację zaonych pań, a troszkę może i za nie-

uczciwość — odrzekł ze spokojem Wolicz podnosząc pierścionek i wręczając go pannie Lutce.

— Nieuczciwość?... Ja?...

— Tak! może..

To mówiąc wyszedł Wolicz na ulicę, gdzie stało auto, a w niem jakaś dama o ładnej, ale mocno bladej twarzy, na której smutek tak wyraźnie wyrysował znaki, jak nawałnica, która przeszła przez kwietniane i zielone łany.

Na wezwanie Wolicza weszła do biura ale chwiejnym krokiem, spoglądając na obecnych nieśmiałym i jakby wystraszonym wzrokiem.

— Czy to pani pierścionek panno Adelo? — zapytał się Wolicz, wskazując na pierścionek, który trzymała w ręku panna Lutka.

Błada i pośpąpana twarz obojej damy okryta się na głym blaśkiem.

— Tak... tak!.. to on... pierścionek hrabianki. Jak on się tu dostał?

— Oto widzi pan swą ofiarę, panie Burniak — rzekł w dalszym ciągu Wolicz i wowodził dalej:

— Tę paniękę wydobylłszy z morza, w chwili, gdy w faloach oceanu szukała śmierci. Była bowiem pewnego razu z wizytą u swej dawniejszej koleżanki szkolnej, hrabianki Moźniczki, która jej pokazywała wspaniałą pierścionkę, jakiej jej nadesłał narzeczony hrabianki. Przy oglądaniu panna Adela wadziła pierścionkę na palec i, jak to czasem bywa, podczas wesolej gawędy i nagle nastąpiło — spowodowane — poezgnaniu o nim zapomniela. Poszła następnie się kąpać w towarzystwie koleżanek. I wówczas dopiero pierścionek zanurzyła. Obawiała się go zostawić w celi kąpielowej i wskutek tego nie zdjęła go z palca. Aby jednak nie spaść z ręki przywłażała go długim jedwabnym sznurkiem do dłoni.

— Jedwabny sznurek był przy nim istotnie — mruknął p. Burniak.

Mimo to pierścionek zesunął się z ręki i we wodzie wraz ze sznurkiem, nie dobrze może zawiązanym, ale panna Adela zapomniela w pierwszej chwili całkiem o pierścionku zwłaszcza, że się zanieubiła, tak że w następnych dniach musiała przebywać w łóżku.

Ale hrabianka o nim pamiętała, albowiem następnego dnia przyjechał jej narzeczony i zaczął się o niego wypytywać. Hrabianka go znaleźć nie mogła. Nie chcąc posądzać swej przyjaciółki o kradzież, posądzła służbę. Sprawa dostała się przed policję i prokuratora. Ale kiedy posądzanym, którym z tego powodu wypowleżano służbę, winy dowiedzieć nie było można, Moźniczka zwróciła się do panny Adeli.

Panna Adela przypomniawszy sobie o zgubie czytna najrozpaczilwieze wysiłki, aby pierścionek odznać. Zwracała się do dyrekcji kąpielowej, która u wejścia do łazienki umieściła odpowiednie ogłoszenie, ogłaszała w pismach, wyznaczała najwyższe nagrody, na jakie ją było stać — lecz wszystko daremnie.

Ostatecznie posądzono ją, że pierścionek skradła i dla opłacenia kosztów letniskowych sprzedała.

Tomaczeniom jej, że przez zapomnienie zabrała pierścionek, nikt nie wierzył.

Groził jej sąd i więzienie, pozbawienie posady, dzięki której utrzymywała matkę staruszkę. A nado wstyd i blamaż. Narzeczony jej, pewien wyższy urzędnik, dowiedziawszy się listownie z zarzutach, jakie jej czyniono, napisał list o oświadczeniu, że złodziejki nie chce mieć jako żonę i że z nią wskutek tego zrywa.

(Dokończenie nastąpi)

Redaktor odpowiedzialny: Paweł Kaszubowski.
Drukarni i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego”
w Chojnicach.